Korczak i moje typy

17 lipca 2012

Gdy wgłębić się w życie Janusza Korczaka, a także wielu postaci Polski międzywojennej, uderza obraz mało dziś znany: postępowej, zaangażowanej inteligencji, tworzącej wówczas faktyczne zręby tego, co obecnie nazywamy społeczeństwem obywatelskim. I przy całej niedoskonałości tamtego, bezpowrotnie utraconego świata, daje do myślenia rozziew między dawną a dzisiejszą epoką.

Myślę, że każdy, kto zetknął się z biografiami bardzo różnych postaci życia publicznego początków XX wieku i międzywojennej Polski, wie, w czym rzecz. Będziemy tu mieli ludzi lewicy i katolików, pisarzy, publicystów, działaczy społecznych, spółdzielców, lekarzy, wydawców, prawników – trudno czasem rozdzielić te role i tożsamości, przyglądając się choćby życiu Janusza Korczaka, Stefana Żeromskiego, Romualda Mielczarskiego, Kazimierza Pużaka, Gustawa Daniłowskiego, Jakuba Mortkowicza, księdza Wacława Blizińskiego, Marii Dąbrowskiej. A te nazwiska można mnożyć.

Z reguły – co także znamienne – nie był to banalny podział na „ludzi pióra" i „ludzi czynu", w życiu dawała o sobie znać koherencja, zdolność do współpracy, współodpowiedzialności, troski społecznej. Nie obywało się bez gniewu, klęsk, rozczarowań, kłótni, niesnasek, łajdactw i niepowodzeń – strasznie czasem bolała Polska, im piękniejsza jawiła się we snach. Ale nie było też tak, że ta Polska stanowiła coś zbędnego, niechcianego, przypadkowego. Polska i polskość były treścią, sensem i zadaniem. I sprawy, które jej dotyczyły, nie były fanaberią elity zamkniętej w kryształowej wieży, ludzi, którzy muszą ciężko wzdychać, że pechowo urodzili się pod taką a nie inną szerokością geograficzną, w otoczeniu takiej a nie innej, ciemnej mierzwy i tłuszczy, z którą same problemy i niewiele pożytku, którzy chcą się stąd wyrwać, odseparować, wyjść na swoje, machnąć ręką, splunąć.

Co się stało po drodze, od początku wieku XX do roku 2012 – dobrze wiemy. Nie mamy Żeromskiego, który zarówno troskał się o losy dzieci polskiej biedoty, jak i o losy Żydów w służbie polskiego wojska, internowanych po Bitwie Warszawskiej. Mamy parunastu luminarzy, co to zawsze podpiszą list otwarty, którego podstawowa, choć nie wyartykułowana wprost treść brzmi: „Chwała nam i naszym kolegom. Ch… precz". Mamy parunastu luminarzy obnoszących się z wrażliwością społeczną, bo byli na „Ty" z Jackiem Kuroniem – człowiekiem, który na początku III RP dość pechowo przyjął na siebie zadania, które go przerosły i dał symboliczne i praktyczne przyzwolenie na „terapię szokową" Balcerowicza. Mamy parunastu luminarzy, dla których kwestia praw obywatelskich sprowadza się do paradowania na Manifach, ale byli i są ślepi i głusi na prawa pracownicze, na godność ludzi spychanych na margines coraz bardziej byle jakiej socjalnie Polski. Mamy parenaście zaciętych feministek, które chętnie wyszydzą katolickich konliberałów, troszczących się jedynie o brzuchy kobiet, ale nie przypominam sobie, żeby te miłe panie wiele zdziałały w sprawie warunków w polskich domach dziecka, zmian w prawie i finansowaniu rodzin zastępczych czy rodzinnych domów dziecka albo w kwestii dostępu „zwykłych kobiet" do dobrej służby zdrowia na prowincji.

Niemal cała dzisiejsza postępowa inteligencja to jakaś parodia, kpina z chlubnych tradycji przeszłości, osobniki lokajskie, żyjące w stanie mentalnego skolonizowania, syte splendorem, jaki im ofiarowano za to, że grzecznie przyjmują istniejący stan rzeczy. Mamy parunastu dżentelmenów, którzy chętnie będą walczyć z krzyżem, ale niespecjalnie wiem, co właściwie mają do zaoferowania w zamian. Etykę indywidualistów i/albo „dorobkiewiczów idei"? Lojalność kół wzajemnej adoracji? Przesyłkę z Holandii dla psa? Wywiad z Dodą? Cynizm, którego nauczyli się od postkomunistów i obrosłych tłuszczem „postsolidaruchów"? Zachwyty nad osobnikami pokroju Palikota i Urbana? Pikietę w obronie Jaruzelskiego na ulicy Ikara? Zwymiotowałby się Krzywicki, Żeromski, Korczak et consortes,

gdyby musieli to towarzystwo uznać za swoich dziedziców.

Piszę te słowa, bo jest rok korczakowski, a nie chciałbym, żeby przeszedł on bez jakichkolwiek refleksji innych niż laurkowo-cukierkowe. Bez doświadczenia i poświadczenia bolesnej pustki po ludziach umarłych, wymordowanych albo – co gorsza – wykolejonych dwoma totalitaryzmami, którym w PRL przyszło się na ogół pogodzić z duszną atmosferą okołosowieckiego reżimu, zabijającego w Polakach instynkt społecznikowski, etos zaangażowanej inteligencji, odpowiedzialności społecznej. Piszę te słowa, choć sam nie jestem społecznikiem i mam tego dojmującą świadomość, graniczącą z wyrzutem sumienia. Ale w wieku trzydziestu pięciu lat można jeszcze patrzeć w przyszłość z nadzieją.

Oczywiście, nie jest tak, że mamy dziś w Polsce tylko postępowych inteligentów, którzy nadają się jedynie na to, by zapisać ich na liście „moje typy". Że poza oczyma mediów, poza dusznym (pół)światkiem dzisiejszej „postępowej kołtunerii", z zadowoleniem mlaskającej nad samą sobą, jest mnóstwo ludzi wykazujących faktyczną troskę o dobro społeczne, rozumiejących polskość i postępowość jako zbieżne ze sobą, nieantagonistyczne wartości, służące dobru społecznemu, nie beneficjentom przemian. Wiem, że są ludzie, którzy swoje poglądy, nastawienie etyczne, postawy życiowe łączą z troską o rzeczy banalne, „prowincjonalne", o najlepsze idee socjaldemokracji, pracy i sprawiedliwości społecznej, o polską kulturę i tożsamość. Wiem, że są tacy ludzie także pośród środowisk lewicy, które są antagonistyczne wobec „Nowego Obywatela". Cześć im, wdzięczność i szacunek za ich często anonimowe, mało nagłośniane prace i myśli. Ale dla tych, co są ich zaprzeczeniem – tylko obrzydzenie i drwina z ich cwaniactwa i samozadowolenia, z ich popularności i lokajstwa, zgięta w łokciu ręka dla ich nic nie kosztującej „walki z ciemnogrodem", bo często do tego ogranicza się ich wybrakowany humanizm.

Zaimponowali mi ostatnio poznańscy naukowcy i artyści, którzy

w proteście przeciwko budowie osiedla kontenerów socjalnych napisali w liście do prezydenta stolicy Wielkopolski, Ryszarda Grobelnego: „Nie chcemy i nie możemy się biernie przyglądać sytuacji, w której Poznań buduje getto biedy, do którego zsyłani mają być najsłabsi mieszkańcy miasta. Bowiem w tym kontekście funkcjonowanie miejskich instytucji kultury, teatrów oraz galerii, staje się farsą, legitymizując i – co gorsze – maskując nieludzką politykę mieszkaniową władz miasta. Nasze przyzwolenie na taki sposób traktowania części mieszkańców Poznania doprowadziłoby do sytuacji, w której kultura przestaje być płaszczyzną krytycznych dyskusji oraz sporu o wartości – stając się jedynie rozrywką dla elit”.

Odnalazłem w tym liście całą dumę, troskę i wielkość naszej dawnej inteligencji. Tak, to był dobry list na rok korczakowski. I widzę jak z zaświatów podpisują się pod nim Korczak, Żeromski, ks. Bliziński i wielu, wielu innych. A kogo nie ma pod tym listem, bo akurat podpisał inny, w obronie swoich kolegów, ten, mówiąc językiem Starego Doktora, zapisał się do grona „cwaniaków, błaznów, ohydnych krętaczy, pokojowej psiarni i kreatur najgorszej sorty”. Własnych inwektyw już nie wymyślam, bo upał. Ale milszy mi polski upał od Was, moje typy.

Autor: Krzysztof Wołodźko
Źródło: Nowy Obywatel